Ropa i nowy imperializm: materialne fundamenty globalnej hegemonii

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje rolę ropy naftowej jako materialnego fundamentu globalnej hegemonii, odrzucając uproszczone teorie o chciwości korporacji na rzecz teorii akumulacji kapitału. Autor wskazuje, że kontrola nad surowcami energetycznymi i kluczowymi szlakami transportowymi, takimi jak Cieśnina Ormuz, pozwala na zarządzanie globalną gospodarką i dyscyplinowanie rywali. Ropa nie jest jedynie towarem, lecz narzędziem politycznym, które łączy logikę kapitalistyczną z terytorialną projekcją siły. Mimo postępującej transformacji energetycznej, surowce pozostają kluczowym węzłem zależności, a „wolny rynek" energii w rzeczywistości opiera się na militarnej eskorcie i strategicznej infrastrukturze, co czyni geopolitykę niezmiennym elementem walki o globalną dominację.

The article analyzes the role of crude oil as the material foundation of global hegemony, rejecting simplified theories of corporate greed in favor of capital accumulation theory. The author points out that control over energy resources and key transport routes, such as the Strait of Hormuz, allows for the management of the global economy and the disciplining of rivals. Oil is not merely a commodity, but a political tool that links capitalist logic with territorial projection of power. Despite the ongoing energy transition, raw materials remain a key node of dependency, and the 'free market' for energy in reality relies on military escort and strategic infrastructure, making geopolitics an immutable element of the struggle for global dominance.

Artykuł analizuje rolę ropy naftowej nie jako zwykłego surowca energetycznego, lecz jako materialnego fundamentu współczesnego imperializmu. Wykorzystując perspektywę Davida Harveya, autor stawia tezę, że kontrola nad zasobami i szlakami transportowymi (takimi jak Cieśnina Ormuz) jest kluczowym narzędziem dyscyplinowania globalnych rywali i utrzymywania hegemonii finansowej poprzez

system petrodolara. Tekst dowodzi, że współczesne konflikty – na przykład spór USA-Izrael-Iran – nie są jedynie starciami ideologicznymi czy religijnymi, lecz wielowarstwowymi walkami o prawo do strategicznego odstraszania i kontrolę nad warunkami globalnej akumulacji kapitału. Głównym wątkiem jest diagnoza kryzysu amerykańskiego przywództwa: przejście od hegemonii opartej na zgodzie i obietnicy wspólnego rozwoju ku kosztownej dominacji opartej na przymusie militarnym i sankcjach finansowych. Autor ostrzega, że ta zmiana prowadzi do tzw. imperialnego przeciążenia, w którym koszty nadzoru nad światem zaczynają przewyższać zyski, a logika wojenna za granicą nieuchronnie kolonizuje instytucje demokratyczne wewnątrz samego imperium.

SŁOWA KLUCZOWE

nowy imperializm | materialne fundamenty hegemonii | system petrodolara | imperialne przeciążenie | geopolityka energetyczna | akumulacja kapitału | bezpieczeństwo szlaków transportowych | Cieśnina Ormuz | transformacja energetyczna | projekcja siły | dyscyplinowanie rywali | autonomia strategiczna | logika terytorialna kapitalizmu | miękka siła i twarda praktyka | architektura zależności

Ropa jako materialny fundament globalnej władzy

Ropa naftowa jest jednym z tych surowców, które ośmieszają luksusowe złudzenie, jakoby nowoczesna gospodarka była domeną wyłącznie informacji, symboli, danych i finansów. Świat może wprawdzie mówić językiem algorytmów, modeli predykcyjnych, sztucznej inteligencji czy instrumentów pochodnych, ale kontener wciąż trzeba przewieźć, samolot zatankować, armię zaopatrzyć, a nawóz wyprodukować. Trzeba położyć asfalt, uruchomić traktor i ubezpieczyć tankowiec, by utrzymać gospodarkę w ruchu. Pod błyszczącą skórą cyfrowego kapitalizmu nadal pulsuje lepka, czarna krew przemysłowej nowoczesności.

Dlatego w analizie nowego imperializmu ropa nie jest jedynie dodatkiem do finansów – jest ich materialnym warunkiem. To nie tylko towar energetyczny, lecz surowiec strategiczny i narzędzie polityki; przedmiot wojen, zabezpieczenie walutowe i źródło renty. Jest powodem sojuszy, pretekstem interwencji, celem sankcji oraz osią lęku globalnych rynków. Kto kontroluje ropę, nie

musi kontrolować wszystkiego; wystarczy, że panuje nad rytmem, w jakim wszystko inne funkcjonuje. Kto kontroluje kurek z ropą, ten nie posiada świata. On posiada jego oddech.

Harvey odrzuca uproszczoną teorię, według której wojny i interwencje na Bliskim Wschodzie można wyjaśnić wyłącznie chciwością koncernów naftowych. Takie podejście byłoby zbyt ubogie. Owszem, korporacje energetyczne mają swoje interesy, kontrakty, renty i lobbystów, a wojna może otwierać dostęp do złóż, koncesji czy infrastruktury. Jednak redukcja całej geopolityki do hasła „poszli po ropę" działa jak publicystyczny wytrych: otwiera pierwsze drzwi i zatrzymuje myślenie na korytarzu.

W ujęciu Harveya stawka jest znacznie wyższa. Nie chodzi o sam zysk z baryłki, lecz o władzę nad warunkami akumulacji w skali globalnej. Bliski Wschód nie jest w tej perspektywie zwykłym magazynem paliwa, lecz geopolitycznym zaworem systemu. Zdolność oddziaływania na dostawy z Zatoki Perskiej pozwala wpływać na koszty produkcji, ceny transportu, inflację, bilanse handlowe oraz bezpieczeństwo energetyczne sojuszników i podatność rywali.

Właśnie dlatego ropa łączy logikę kapitalistyczną z terytorialną w niemal podręcznikowej formie. Kapitał wymaga taniej i przewidywalnej energii, podczas gdy państwo potrzebuje szlaków, baz, marynarki wojennej oraz doktryn bezpieczeństwa. Baryłka jest towarem, cieśnina – strategią, tankowiec – logistyką, a waluta rozliczeniowa stanowi imperialną infrastrukturę zaufania. Akcentowanie Bliskiego Wschodu i globalnego „kurka z ropą" nie jest zatem poetycką metaforą, lecz skrótem dla całego układu zależności.

Współczesna gospodarka może coraz głośniej mówić o transformacji energetycznej, jednak ropa pozostaje kluczowym węzłem transportu, petrochemii, rolnictwa i produkcji wojskowej. Nawet państwa deklarujące odejście od paliw kopalnych nie opuszczają epoki ropy jednym ruchem. Transformacja energetyczna nie znosi geopolityki – ona ją komplikuje, wprowadzając obok ropy walkę o metale ziem rzadkich, lit, nikiel, kobalt, miedź czy półprzewodniki.

Ropa jako warunek globalnej temperatury konfliktów

Nie ma czystego przejścia z brudnej geopolityki do nieskazitelnej moralności; jest jedynie zmiana mapy zależności. Ropa wciąż pozostaje lekcją realizmu. Państwa mogą wygłaszać deklaracje o wartościach, prawach człowieka czy pokoju, lecz ich zachowanie wobec regionów energetycznych często zdradza głębszy alfabet. Stabilność oznacza tu przewidywalny przepływ. Bezpieczeństwo to kontrola nad szlakiem. Porządek to układ, w którym przeciwnik nie może zakręcić kurka w gardle systemu. Wolny rynek zaś oznacza dostawy zabezpieczone przez flotę, dyplomację, sankcje i sieć

baz wojskowych. Globalny kapitalizm chętnie opowiada o konkurencji, ale gdy w grę wchodzi ropa, nagle przypomina sobie, że ta konkurencja potrzebuje geopolitycznego strażnika. Wolny rynek ropy pływa pod eskortą marynarki wojennej.

Cieśnina Ormuz jest tu symbolem i mechanizmem zarazem. Według amerykańskiej Energy Information Administration w 2024 roku przez ten przesmyk przepływało średnio około 20 milionów baryłek ropy dziennie, co stanowi równowartość jednej piątej światowej konsumpcji płynnych paliw ropopochodnych. EIA wskazuje również, że zdecydowana większość ropy, kondensatu i LNG przechodzących przez Ormuz trafiała na rynki azjatyckie – zwłaszcza do Chin, Indii, Japonii i Korei Południowej. To dowodzi, że Ormuz nie jest zwykłym punktem na mapie; to miejsce, w którym geografia staje się ceną, a cena polityką.

Jeżeli przepływ przez takie gardło zostaje zakłócony, skutki wykraczają daleko poza rafinerie. Uderzają w koszty transportu, ubezpieczenia, kontrakty terminowe, inflację, produkcję przemysłową, bilanse płatnicze, rynki walutowe, budżety państw i nastroje społeczne. Cena energii jest podatkiem od wszystkiego. Wzrost cen ropy nie zatrzymuje się na stacji benzynowej – przenika do żywności, chemii, logistyki, biletów lotniczych, nawozów, kosztów armii, cen detalicznych i sondaży politycznych. Dlatego wojna w regionie naftowym jest zawsze czymś więcej niż konfliktem regionalnym. To potencjalny atak paniki na system nerwowy gospodarki światowej. W aktualnym sporze USA-Izrael-Iran wątek ten jest szczególnie czytelny, choć wymaga ostrożności interpretacyjnej.

Według Reutersa 20 maja 2026 roku chińskie tankowce przewożące miliony baryłek ropy opuszczały Cieśninę Ormuz po wielotygodniowym postoju w Zatoce, korzystając z wyznaczonych tras tranzytowych w warunkach regionalnego napięcia. Reuters informował również, że chińskie państwowe rafinerie ograniczały przerób ropy z powodu zakłóceń dostaw z Bliskiego Wschodu oraz słabych marż, co pokazuje, jak szybko geopolityka cieśniny przekłada się na decyzje przemysłowe w Azji. Tu nie trzeba nadużywać wielkich słów; wystarczy prześledzić prosty łańcuch: rakieta, cieśnina, tankowiec, rafineria, marża, cena, inflacja, decyzja polityczna. Nie wynika z tego jednak, że konflikt Izrael-USA-Iran dotyczy „tylko ropy". Taka teza byłaby zbyt płaska.

Konflikt obejmuje bezpieczeństwo Izraela, program nuklearny Iranu, regionalną rywalizację między Teheranem a jego przeciwnikami, rolę milicji i sojuszników pośrednich, interesy państw Zatoki, prestiż USA, architekturę odstraszania, politykę sankcji, napięcia religijno-ideologiczne, rywalizację z Chinami oraz wewnętrzny spór w samych Stanach Zjednoczonych o zakres prezydenckich kompetencji wojennych. Reuters 19 maja 2026 roku pisał, że Senat USA procedował rezolucję ograniczającą działania militarne prezydenta wobec Iranu bez autoryzacji Kongresu, co

pokazuje, że wojna stała się również sporem konstytucyjnym o relację między władzą wykonawczą a ustawodawczą.

Ropa nie jest więc jedyną przyczyną, lecz warunkiem nadającym konfliktowi globalną temperaturę. Właśnie na tym polega dojrzała analiza geopolityczna: trzeba unikać dwóch błędów jednocześnie. Pierwszy to idealizm, udający, że wojny toczą się wyłącznie o wartości i zasady prawa międzynarodowego. Drugi to ekonomiczny cynizm, twierdzący, że wszystko jest tylko przykrywką dla ropy. Pierwszy błąd jest naiwny, drugi leniwy. Rzeczywistość bywa bardziej bezczelna: wartości, bezpieczeństwo, ropa, waluta, prestiż, interesy wewnętrzne, technologia, religia, historia i kalkulacje elit mogą działać symultanicznie. Imperium nie ma jednej motywacji. Imperium ma portfel motywacji. Nie każda wojna o region naftowy jest wojną tylko o ropę, ale żadna z nich nie jest od ropy niewinna. W tym ujęciu Harveyowska analiza Iraku zachowuje znaczenie szersze niż sam przypadek 2003 roku.

Ropa i dolar jako narzędzia dyscyplinowania rywali

Kluczowy jest tutaj model myślenia: kontrola nad strategicznym regionem surowcowym służy nie tylko pozyskaniu zasobu, ale przede wszystkim dyscyplinowaniu rywali. Europa i Azja – a w szczególności Chiny – są znacznie bardziej zależne od importu energii z konkretnych kierunków niż państwo dysponujące globalną siecią militarną, walutową i dyplomatyczną.

Kto kontroluje dostęp innych do energii, zyskuje narzędzie nacisku, którego nie musi natychmiast używać w pełni. W geopolityce możliwość zakręcenia kurka bywa równie ważna jak samo zakręcenie. Groźba jest tańsza od wykonania, a często i skuteczniejsza. Dlatego kontrola nad ropą nie jest jedynie kwestią energetyczną; to kwestia struktury hegemonii. Stany Zjednoczone, chcąc utrzymać status globalnego arbitra, muszą dbać nie tylko o własne dostawy, ale o warunki dostaw dla reszty świata. Tu pojawia się paradoks: hegemon gwarantuje bezpieczeństwo szlaków, z których korzystają także jego konkurenci, zachowując jednocześnie zdolność przekształcenia tego bezpieczeństwa w presję. Ochrona i szantaż to dwie strony tej samej monety. Sojusznik widzi gwarancję. Rywal widzi dłoń na zaworze.

Ropa pełni również funkcję walutową. System petrodolara nie jest teorią spiskową, lecz historycznym sprzężeniem między handlem ropą, amerykańskim dolarem, rynkami finansowymi a recyklingiem nadwyżek państw eksportujących surowce. Skoro ropa jest rozliczana w dolarze, świat potrzebuje dolara. Dzięki temu USA zyskują wyjątkowy przywilej finansowania deficytów i utrzymywania globalnej płynności na własnych warunkach. Gdy dolar staje się jednocześnie walutą handlu, rezerw i długu, sankcje finansowe zmieniają się w broń. To połączenie ropy i dolara stanowi

jeden z filarów późnej hegemonii finansowej. Baryłka i banknot rozmawiają ze sobą ciszej niż ministrowie, ale skuteczniej. Nie oznacza to jednak, że system ten jest niezniszczalny.

Nadużywanie sankcji, konflikty zbrojne, wzrost potęgi Chin, porozumienia walutowe poza dolarem czy rozwój alternatywnych systemów płatności mogą osłabiać monopol amerykańskiej waluty. Do tego dochodzi rosnąca rola złota w rezerwach i polityczna niechęć do jurysdykcji USA. Jednak odejście od dolara nie jest kwestią naciśnięcia guzika. Waluta rezerwowa to nie tylko decyzja polityczna, lecz przede wszystkim głębokość rynku finansowego, płynność, zaufanie, instytucje i sieć kontraktów, dla których brakuje równie wygodnej alternatywy. Dolar przypomina zatem stary system operacyjny świata: wszyscy narzekają, wielu szuka zamiennika, ale większość kluczowych aplikacji nadal na nim działa.

Ropa jako fundament projekcji siły i stabilizacji konsumpcji

Petrodolar nie jest magią. Jest infrastrukturą przyzwyczajenia, siły i braku łatwej alternatywy. Ropa łączy się bezpośrednio z machiną wojenną; nowoczesna armia to w istocie organizm energetyczny. Samoloty, okręty, czołgi, logistyka, produkcja amunicji czy bazy zagraniczne wymagają paliwa. Każde państwo prowadzące poważną politykę militarną musi traktować energię nie jako sektor gospodarki, lecz jako warunek projekcji siły. W przypadku konfliktu z potęgą przemysłową zdolność zakłócenia dostępu do paliw zyskuje znaczenie strategiczne. Dlatego Bliski Wschód jest nie tylko obszarem wydobycia, ale przestrzenią wojskowej kalkulacji wobec Azji. Kto kontroluje energetyczne gardła Eurazji, może komplikować plany każdemu pretendentowi do autonomicznej potęgi. Logikę tę widać w obawie przed powstaniem bloku eurazjatyckiego zdolnego trwale ograniczyć przewagę USA. Europa, Rosja, Chiny, Iran, Indie, Azja Centralna i Bliski Wschód tworzą bowiem ogromną przestrzeń zasobów, produkcji, demografii, technologii i energii.

Gdyby ta przestrzeń została politycznie i infrastrukturalnie zintegrowana przeciwko dominacji amerykańskiej, pozycja USA jako zewnętrznego arbitra mogłaby znacząco osłabnąć. Kontrola nad morskimi szlakami, sankcjami oraz punktami zapalnymi Eurazji pozwala utrzymywać podział tego obszaru. Nie zawsze wymaga to klasycznego podboju; czasem wystarczy zarządzanie napięciami, zależnościami i strachem.

W tym punkcie ropa spotyka się z geografią chaosu kontrolowanego. Hegemon nie potrzebuje regionu stabilnego w sensie moralnym czy społecznym – potrzebuje go stabilnego dla własnych przepływów i niestabilnego dla konkurencyjnej integracji. To brutalna teza, lecz bez niej trudno

zrozumieć, dlaczego niektóre kryzysy trwają dekadami, a ich „rozwiązania" przypominają mechanizmy zarządzania konfliktem, a nie jego wygaszania. Stabilność dla tankowca może współistnieć z niestabilnością dla mieszkańca; bezpieczeństwo szlaku nie musi oznaczać bezpieczeństwa społeczeństwa. Porządek imperialny często myli pokój z przejezdnością. Dla imperium region jest stabilny wtedy, gdy przepływ działa, nawet jeśli ludzie żyją w ruinie.

Ropa służy również jako narzędzie wewnętrznej polityki społecznej. Ceny energii kształtują nastroje obywateli, inflację i wiarygodność rządów. Tania energia przez dekady stanowiła ukryty filar zachodniego modelu konsumpcyjnego. Umożliwiała suburbanizację, masową motoryzację, globalne łańcuchy dostaw oraz polityczną obietnicę nieustającego komfortu. Gdy energia drożeje, pęka iluzja, że wzrost konsumpcji jest naturalnym prawem społeczeństwa. Wtedy pojawia się gniew.

Ludzie mogą nie czytać raportów geopolitycznych, ale widzą rachunki i koszt ogrzewania. Geopolityka wchodzi do kuchni przez paragon. Ropa staje się zatem narzędziem zgody. Hegemonia wewnętrzna wymaga bowiem, aby społeczeństwa centrum otrzymywały materialne potwierdzenie sensu systemu. Tania energia i kredyt pozwalały długo amortyzować napięcia klasowe; dopóki obywatel mógł konsumować i podróżować, rzadziej pytał o geopolityczne koszty tego komfortu. Tania ropa nie była tylko paliwem do samochodu – była środkiem uspokajającym demokracji konsumpcyjnej.

Gdy ten środek słabnie, przymus zewnętrzny powraca jako dyscyplina wewnętrzna: w formie oszczędności, inflacji, militaryzacji czy poszukiwania kozłów ofiarnych. Prowadzi to do zjawiska imperialnego przeciążenia. Kontrola nad regionami energetycznymi generuje ogromne koszty: bazy, floty, operacje wywiadowcze i obsługę długu. Jeśli hegemon próbuje jednocześnie utrzymać globalną dominację militarną, finansować wewnętrzną konsumpcję i chronić walutę, zaczyna balansować na krawędzi. Ropa jest narzędziem władzy, ale jej kontrola może stać się źródłem wyczerpania. Kurek daje wpływ, lecz wymaga strażnika. Strażnik kosztuje, a gdy pilnuje zbyt wielu kurków, sam zaczyna brakować tchu.

W aktualnych napięciach widać kolejny paradoks. Wojna może wzmacniać państwa surowcowe poprzez wzrost cen, ale jednocześnie przyspiesza polityki dywersyfikacji i transformacji. IEA w maju 2026 roku prognozowała spadek światowego popytu na ropę w stosunku do poprzedniego roku, obniżając scenariusz względem okresu przed wojną – m.in. z powodu wyższych cen i słabszego otoczenia gospodarczego. To dowodzi, że broń energetyczna bywa obosieczna: kto zbyt drastycznie podnosi koszt zależności, może nieświadomie zachęcić innych do szukania z niej wyjścia.

Zmiana paliwa nie znosi logiki imperializmu

Transformacja energetyczna nie znosi jednak natychmiast imperialnej logiki. Przenosi ona walkę na nowe pola: o technologie, sieci, metale ziem rzadkich, magazynowanie energii, produkcję baterii i półprzewodników, a także o zdolności przemysłowe i standardy regulacyjne. Świat po ropie – o ile kiedykolwiek stanie się realny w pełnym tego słowa znaczeniu – nie będzie automatycznie światem wolnym od imperializmu. Może okazać się przestrzenią nowych monopoli, wywłaszczeń i zależności surowcowych. Zmieni się paliwo, lecz logika pozostanie ta sama. Jeśli zielona transformacja zostanie podporządkowana wyłącznie rentowności, powtórzy stare mechanizmy w nowej odsłonie: kopalnie litu zastąpią pola naftowe, patenty szybów, a sieci ładowania rurociągi i platformy danych energetycznych giełdy ropy.

Dlatego o ropie należy mówić bez nostalgii i złudzeń. Jest ona fundamentem przemysłowej nowoczesności, ale zarazem jednym z głównych źródeł jej przemocy. Umożliwiła mobilność, masową produkcję, rolnictwo przemysłowe i urbanizację, przynosząc bogactwo, lecz jednocześnie wzmocniła autorytaryzmy rentierskie, napędzała wojny, katastrofy ekologiczne oraz imperialne interwencje.

Ropa nie jest demonem sama w sobie. To narzędzie, które w konkretnym układzie kapitalizmu i państwowości stało się dźwignią panowania. Problemem nie jest samo paliwo, lecz porządek, w którym dostęp do niego decyduje o prawie do rozwoju, bezpieczeństwa i głosu. Ropa nie stworzyła imperializmu. Ropa dała imperializmowi silnik spalinowy.

W tej perspektywie konflikt Izrael-USA-Iran stanowi dramatyczny przykład świata przejściowego. Z jednej strony wciąż tkwimy w epoce ropy, cieśnin i baz wojskowych; z drugiej narasta era danych, sztucznej inteligencji, cyberwojny i rywalizacji o łańcuchy dostaw energii przyszłości. Wojna ta nie toczy się więc wyłącznie o paliwa kopalne, lecz o architekturę przyszłej zależności. O to, kto ustali reguły bezpieczeństwa regionalnego, kto przejmie kontrolę nad przełącznikami energii i kto będzie mógł wymuszać trasy transportu lub karać sankcjami. To także spór o prawo rywala do autonomii technologicznej i militarnej oraz walka o wiarygodność przymusu. Hegemon, który grozi, musi czasem udowodnić, że jego groźba nie jest pustym teatrem. Jednak każdy pokaz siły zużywa legitymizację, kapitał i cierpliwość sojuszników. Zbyt słaby hegemon zachęca przeciwników; zbyt brutalny buduje koalicje oporu. Jeśli zaś konflikt trwa zbyt długo, zaczyna działać jak kwas na własne instytucje.

Spór w USA o kompetencje wojenne wobec Iranu dowodzi, że przymus zewnętrzny zawsze rykoszetem uderza w środek systemu politycznego. Wojna za granicą staje się pytaniem o to, kto ma prawo decydować wewnątrz kraju. Tutaj ropa, wojna i konstytucja spotykają się w jednym

punkcie. Decyzja o uderzeniu w region energetyczny nie jest jedynie ruchem militarnym – to decyzja o cenach, długu, inflacji, przyszłości dolara i granicach państwowej przemocy. Analiza Harveya pozostaje tu niezwykle użyteczna: pozwala widzieć wojnę nie jako wybuch irracjonalności, lecz jako moment, w którym logika kapitalistyczna i terytorialna przestają udawać, że są od siebie oddzielone. Kapitał potrzebuje przepływu, państwo pilnuje szlaku. Gdy szlak płonie, kapitał odkrywa, że zawsze miał mundur w szafie.

W ostatecznym rozrachunku ropa jest wielkim testem fałszywej niewinności globalizacji. Obnaża fakt, że światowy rynek nie jest samoregulującą się przestrzenią wymiany, lecz systemem zabezpieczonym przez władzę, przemoc i terytorium. Pokazuje, że finanse potrzebują materii, a materia ochrony. Dowodzi, że globalna gospodarka jest znacznie mniej „postindustrialna", niż lubi o sobie myśleć.

Wielowarstwowość konfliktów i walka o prawo do odstraszania

Gdy cieśnina się zamyka, cały cyfrowy spektakl słyszy stary dźwięk: metal statku, szum silnika, ryzyko wojny i cenę baryłki.

Wojna nie toczy się tylko o paliwa kopalne.

Najsłabsze analizy konfliktów bywają nie te, które kłamią wprost, lecz te, które zbyt wcześnie znajdują jedną odpowiedź. Wojna rzadko ma jedną przyczynę, jeden interes czy jeden rachunek. Składa się raczej z warstw: bezpieczeństwa i prestiżu, zasobów i doktryn, technologii i religii, pamięci i strachu, ambicji elit, logistyki, finansów, sojuszy oraz wewnętrznych potrzeb politycznych.

Konflikt Izrael-USA-Iran należy czytać właśnie w ten sposób. Nie jest on wojną wyłącznie o ropę, ale nie można go zrozumieć bez uwzględnienia ropy. Nie jest tylko starciem religijnym, lecz nie da się go odłączyć od religijnych imaginarium. Nie sprowadza się jedynie do sporu o program nuklearny, choć bez niego traci jeden ze swoich głównych zapalników. Nie jest wyłącznie projekcją amerykańskiej hegemonii, ale bez niej nie osiągnąłby tej skali.

Wojna nie ma jednej przyczyny; posiada hierarchię zapalników. W centrum konfliktu leży pytanie o to, kto ma prawo do odstraszania. Jest ono istotniejsze niż dyplomatyczne formuły o stabilności regionu. Izrael od dekad buduje swoje bezpieczeństwo na przekonaniu, że nie może dopuścić do powstania wrogiego ośrodka zdolnego zadać mu egzystencjalny cios. Iran z kolei postrzega własną

projekcję siły jako odpowiedź na otoczenie strategiczne: sankcje, doświadczenie izolacji, obecność USA w regionie, rywalizację z monarchiami Zatoki i izraelską przewagę militarną. Stany Zjednoczone widzą w tym układzie nie tylko zagrożenie dla sojusznika, lecz także test własnej zdolności do narzucania reguł bezpieczeństwa w regionie, który pozostaje jednym z głównych przełączników światowej gospodarki.

Program nuklearny Iranu pełni tu rolę szczególną. Nie jest jedynie kwestią techniczną – liczby wirówek czy poziomu wzbogacania uranu. Jest symbolem prawa do statusu, samodzielności strategicznej i odporności na przymus. Dla Teheranu zdolność nuklearna, nawet jeśli przedstawiana jako cywilna, wiąże się z pytaniem o to, czy państwo może odstraszać mocarstwa dysponujące potęgą militarną, sankcyjną i technologiczną. Dla Izraela i USA ten sam proces wygląda jak próba uzyskania parasola, pod którym Iran mógłby prowadzić agresywniejszą politykę regionalną za pomocą sojuszników i formacji pośrednich.

W tej grze nie chodzi więc wyłącznie o broń. Chodzi o zmianę psychologii ryzyka. Broń nuklearna jest technologią.

Asymetria odstraszania i imperialna kolonizacja instytucji

Odstraszanie jest teatrem politycznej wyobraźni. Gdyby Iran zyskał wiarygodną zdolność odstraszania nuklearnego, kalkulacja wszystkich aktorów w regionie uległaby zmianie. Izrael musiałby inaczej szacować koszt uderzeń prewencyjnych, państwa Zatoki szukałyby nowych gwarancji, a Turcja obserwowałaby wzrost statusu Iranu jako regionalnej potęgi. Arabia Saudyjska mogłaby przyspieszyć własne ambicje technologiczne i w obszarze bezpieczeństwa, podczas gdy USA stanęłyby przed pytaniem, czy ich gwarancje są nadal wystarczające. Chiny i Rosja dostrzegłyby natomiast szansę na osłabienie amerykańskiej kontroli nad architekturą bezpieczeństwa.

Program nuklearny nie jest więc jedynie izolowanym plikiem technicznym w gabinecie negocjatora, lecz potencjalnym przełącznikiem całego układu regionalnego. Stąd kluczowa rola logiki uderzenia wyprzedzającego. Państwo uznające, że przeciwnik zbliża się do punktu nieodwracalnego, może dojść do wniosku, że wojna dziś jest tańsza niż wojna jutro. To jedna z najniebezpieczniejszych kalkulacji w polityce międzynarodowej, gdyż zamienia lęk w strategię. Im silniej jedna strona podkreśla niedopuszczalność określonego scenariusza, tym bardziej druga uznaje konieczność zabezpieczenia się przed przymusem. Spirala napędza samą siebie: Izrael widzi w irańskiej

autonomii strategicznej zagrożenie egzystencjalne; Iran postrzega izraelsko-amerykańską gotowość do użycia siły jako dowód, że tylko własna zdolność odstraszania zapewni mu przetrwanie; USA zaś widzą w irańskim oporze test wiarygodności porządku, którego są patronem.

Wojna ta jest również sporem o definicję legalnej przemocy. Kto może posiadać broń? Kto ma prawo grozić lub uderzać prewencyjnie? Kto może ogłaszać nadrzędność własnego bezpieczeństwa nad suwerennością innego państwa, rozciągać doktrynę obronną na cały region czy karać sankcjami? Kto wreszcie decyduje, która technologia jest pokojowa, a która strategicznie niedopuszczalna? Tu odsłania się imperialny rdzeń ładu międzynarodowego: formalna równość państw współistnieje z hierarchią realnych uprawnień. Jedni mają prawo do „odstraszania", inni są oskarżani o „destabilizację", gdy próbują zbudować jego lokalną wersję. Nie oznacza to moralnego wybielania Iranu. Państwo irańskie prowadzi politykę regionalną opartą na wspieraniu aktorów zbrojnych, presji na sąsiadów, brutalnej kontroli wewnętrznej i ideologicznej mobilizacji. Nie jest niewinną ofiarą ładu, lecz analiza imperializmu nie wymaga świętych ofiar – wymaga zrozumienia asymetrii.

Iran może być represyjnym państwem i jednocześnie obiektem zewnętrznej strategii przymusu. Izrael może mieć realne obawy o bezpieczeństwo i jednocześnie działać w sposób wzmacniający logikę permanentnej wojny. USA mogą deklarować ochronę porządku, naruszając jego zasady, gdy uznają to za konieczne. Rzeczywistość ma paskudny zwyczaj nie mieścić się w moralnych folderach promocyjnych. To, że ktoś stanowi zagrożenie, nie oznacza, iż każda przemoc wobec niego staje się rozumna.

W aktualnym stanie konfliktu kluczowa jest amerykańska dynamika wewnętrzna. Według Reutersa 19 maja 2026 roku Senat USA przegłosował proceduralne posunięcie dotyczące rezolucji, która miała ograniczyć możliwość prowadzenia przez prezydenta Donalda Trumpa działań wojskowych przeciw Iranowi bez autoryzacji Kongresu. Wniosek przeszedł stosunkiem 50 do 47, przy poparciu części Republikanów, choć dalsza droga legislacyjna pozostawała trudna z powodu oporu Izby Reprezentantów i możliwego weta prezydenckiego.

Wydarzenie to jest istotniejsze, niż się wydaje, gdyż pokazuje, że konflikt zagraniczny przenika do centrum konstytucyjnej walki o władzę wojenną. Imperium musi pytać nie tylko o to, kogo bombardować, lecz kto w ogóle ma prawo nacisnąć guzik. Spór ten ujawnia klasyczną dialektykę imperializmu: przymus zewnętrzny wzmacnia władzę wykonawczą wewnątrz państwa. Wojna wymaga szybkości, tajemnicy, centralizacji i delegowania decyzji w ręce wąskiej elity bezpieczeństwa. Demokracja natomiast opiera się na debacie, jawności i odpowiedzialności. Im dłużej trwa konflikt, tym mocniej aparat wojenny uczy społeczeństwo, że sprzeciw jest ryzykiem, procedura przeszkodą, parlament opóźnieniem, a krytyka brakiem patriotyzmu. Hannah Arendt,

przywoływana przez Harveya, rozumiała ten mechanizm ostro: imperializm za granicą rodzi pokusę tyranii w kraju. Nie dlatego, że każdy rząd natychmiast staje się dyktaturą, lecz dlatego, że logika wojny kolonizuje instytucje cywilne. Imperium zawsze wraca do domu. Najpierw jako duma, potem jako policja, dług i cenzura lęku.

Konflikt z Iranem jest więc testem amerykańskiego państwa. Jeżeli prezydent może prowadzić długotrwałe działania zbrojne w oparciu o szeroką interpretację kompetencji naczelnego dowódcy, Kongres traci część swojej konstytucyjnej funkcji. Jeśli zaś próby odzyskania kontroli następują dopiero po eskalacji i są mało skuteczne, widać, że architektura republiki ugina się pod ciężarem imperium. Państwo stworzone z nieufności wobec koncentracji władzy musi zarządzać globalną siatką baz, zobowiązań i sankcji. Republika chce procedury, imperium zaś decyzyjności. Ten konflikt nie jest dodatkiem do wojny – jest jej wewnętrzną anatomią.

Z perspektywy Izraela starcie to ma jeszcze inny wymiar: chodzi o utrzymanie strategicznej przewagi i wiarygodności odstraszania w regionie, gdzie przeciwnicy operują nie tylko jako państwa, lecz poprzez sieci organizacji zbrojnych, milicji i kanały wojny nieregularnej. Iran przez lata budował bowiem pozycję nie tylko jako kraj, ale jako centrum osi wpływów.

Asymetryczna wojna o odporność i koszty systemu

Taka struktura utrudnia klasyczne rozstrzygnięcie militarne. Można uderzyć w instalacje, dowódców, konwoje, magazyny, porty, systemy radarowe, zakłady nuklearne czy bazy, ale znacznie trudniej „zbombardować" zdolność przeciwnika do regenerowania sieci. Wojna z państwem-siecią jest jak walka z hydrologią: można zniszczyć most, lecz woda i tak znajdzie nowe koryto. Dla Izraela oznacza to pokusę ciągłego przesuwania linii prewencji. Skoro nie można pozwolić przeciwnikowi na osiągnięcie zdolności krytycznych, trzeba uderzać wcześniej; skoro ten korzysta z pośredników, należy karać zaplecze; a gdy zagrożenie jest rozproszone, bezpieczeństwo musi stać się permanentne. Taka logika jest zrozumiała dla państwa myślącego kategoriami ryzyka egzystencjalnego, lecz niesie ze sobą pułapkę: permanentna prewencja może wytwarzać permanentną wojnę. A permanentna wojna niszczy nie tylko przeciwnika – niszczy ona zdolność społeczeństwa do rozróżniania bezpieczeństwa od dominacji.

Iran z kolei gra kartą przetrwania przez koszt. Nie musi być silniejszy od USA i Izraela w sensie klasycznym; musi jedynie uczynić zwycięstwo nad sobą zbyt drogim, zbyt rozproszonym, ryzykownym i destabilizującym. To logika asymetryczna: słabszy gracz nie pokonuje silniejszego wprost, lecz podnosi cenę jego działań. Może grozić zakłóceniem przepływów energetycznych, aktywizacją sojuszników, uderzeniami w bazy, cyberatakami czy presją na państwa Zatoki i

eskalacją w Lewancie, Morzu Czerwonym lub Iraku. W tej strategii przestrzeń staje się bronią. Iran nie musi kontrolować całego regionu – wystarczy, że uczyni wiele jego punktów niepewnymi. Słabszy nie musi wygrywać bitwy; wystarczy, że sprawi, iż silniejszy zacznie przegrywać kalkulację. Tu powraca ropa, lecz już jako element szerszej wojny o odporność systemu.

Według Reutersa chińskie rafinerie państwowe – w tym Sinopec, PetroChina, CNOOC i Sinochem, odpowiadające za znaczną część mocy rafineryjnych kraju – ograniczały przerób ropy o ponad milion baryłek dziennie z powodu zakłóceń dostaw z Bliskiego Wschodu i słabych marż. Fakt ten pokazuje, że choć Iran, Izrael i USA walczą w regionie, konsekwencje tych zmagań zapisują się w chińskich harmonogramach produkcji, azjatyckich marżach rafineryjnych i globalnych prognozach popytu. Wojna regionalna staje się globalnym testem łańcuchów dostaw.

Międzynarodowa Agencja Energetyczna w maju 2026 roku prognozowała spadek światowego popytu na ropę o 420 tys. baryłek dziennie rok do roku (do poziomu około 104 mln baryłek), wskazując, że jest to wynik o 1,3 mln baryłek niższy niż w prognozach sprzed wojny. Największy spadek miał przypadać na drugi kwartał 2026 roku, uderzając szczególnie w sektory petrochemiczny i lotniczy. Oznacza to, że konflikt nie tylko podnosi ceny i budzi lęk o podaż, ale zmienia zachowania gospodarki realnej. Zakłócenie energetyczne staje się mechanizmem redukcji aktywności.

Energetyczna podatność jako narzędzie przymusu

Tak wygląda wojna, która trafia do statystyk popytu, zanim jeszcze znajdzie miejsce w podręcznikach historii. Z perspektywy Chin konflikt ten jest szczególnie uciążliwy. Pekin potrzebuje stabilnych dostaw energii, przewidywalnych szlaków morskich i niskich kosztów produkcji. Jednocześnie Chiny, będąc strategicznym rywalem USA, borykają się z zależnością od bliskowschodniej ropy – podatnością, której Waszyngton nie musi nawet w pełni wykorzystywać, by była ona skuteczna. Sama świadomość, że morska logistyka energetyczna Azji przebiega przez punkty, w których amerykańska projekcja siły i regionalne konflikty mogą zmienić rachunek zysków i strat, jest kluczowym elementem gry. To właśnie dlatego Chiny inwestują w dywersyfikację: lądowe korytarze, relacje z Rosją, nowe technologie energetyczne, magazynowanie oraz budowę własnej floty.

Nie chodzi tu wyłącznie o handel, lecz o ograniczenie podatności na cudzy przymus. Europa znajduje się w podobnie trudnym, choć inaczej skonfigurowanym położeniu. Po doświadczeniach z zależnością od Rosji europejskie państwa przekonały się, że tani surowiec może być politycznie bardzo drogi. Konflikt na Bliskim Wschodzie przypomina natomiast, że dywersyfikacja nie

eliminuje ryzyka, a jedynie zmienia jego geografię. LNG, ropa z alternatywnych kierunków, nowe kontrakty czy zielona transformacja nie uwalniają Europy natychmiast od globalnych szoków. Można zmniejszyć zależność od jednego dostawcy, ale wciąż pozostaje się zakładnikiem stabilności światowych cen, ubezpieczeń, transportu, rafinerii, kursów walut i decyzji mocarstw. Europejska suwerenność energetyczna nie jest zatem stanem, lecz procesem bolesnego wychodzenia z iluzji.

Państwa Zatoki prowadzą zupełnie inną grę. Z jednej strony czerpią z renty surowcowej i strategicznego znaczenia regionu; z drugiej – obawiają się, że pełna eskalacja zmieni ich infrastrukturę w cele, porty w zakładników, a ambitne projekty modernizacyjne w zakurzoną dekorację na tle wojny. Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, Kuwejt i Oman muszą balansować między relacjami z USA, kontaktami z Chinami, rywalizacją z Iranem a własnymi ambicjami rozwojowymi i koniecznością uniknięcia regionalnego pożaru.

Ich interesem nie jest romantyczna wojna cywilizacji, lecz kontrolowany porządek, w którym renta płynie, miasta rosną, inwestorzy przybywają, a koszty ubezpieczeń nie konsumują przyszłości. Dlatego konflikt USA-Izrael-Iran jest także walką o tempo transformacji regionalnej. Państwa Zatoki chcą przestać być jedynie stacjami benzynowymi świata; budują centra finansowe, logistyczne, technologiczne, turystyczne, sportowe, akademickie i militarne.

Dążą do zamiany renty surowcowej w trwałą pozycję geopolityczną po epoce ropy. Jednak każda eskalacja przypomina, że wieżowiec nie unieważnia geografii. Można wznieść muzeum przyszłości, ale jeśli cieśnina staje się zakładnikiem rakiet, rzeczywistość wraca do map z czasów imperialnych. Region może marzyć o gospodarce wiedzy, lecz gdy płonie szlak naftowy, wszyscy znów podlegają prawom geografii.

Przymus administracyjny i technologiczny jako narzędzia dominacji

W tej wojnie kluczową rolę odgrywają sankcje. Sankcja jest przemocą administracyjną, która chce wyglądać jak alternatywa dla wojny. Choć bywa narzędziem wymuszania negocjacji lub sposobem na ograniczenie eskalacji militarnej, w logice imperialnej pełni przede wszystkim funkcję dyscyplinującą. Uderza w państwa, firmy i całe sektory gospodarki, przypominając, kto kontroluje dostęp do systemów płatności, ubezpieczeń, technologii czy rynków walutowych. Przesłanie jest jasne: nie musimy cię okupować, wystarczy odciąć cię od współdzielonej infrastruktury świata. Iran od lat funkcjonuje w cieniu takiej presji. Wykształciło to z jednej strony gospodarkę odpornościową, z drugiej zaś gospodarkę deformacji – opartą na obchodzeniu restrykcji, sieciach pośredników i

korupcji, co doprowadziło do militaryzacji struktur potrafiących operować w szarej strefie. Paradoks polega na tym, że narzędzie mające osłabić państwo często wzmacnia aparat kontrolujący dystrybucję niedoboru. Kara ekonomiczna rzadko trafia bezpośrednio w centrum decyzyjne; zazwyczaj najpierw uderza w zwykłe życie, pogłębiając zależność społeczeństwa od reżimowych mechanizmów przetrwania.

Wojna toczy się również na polu technologicznym. Drony, cyberoperacje, systemy obrony powietrznej i sztuczna inteligencja zmieniają dynamikę konfliktu, ale nie eliminują z niego polityki. Wręcz przeciwnie – mogą obniżyć próg użycia siły. Możliwość precyzyjnego, zdalnego uderzenia bez angażowania wojsk lądowych kusi polityków wizją przemocy dawkowanej jak lek. Historia zwykle odpowiada na to szyderczym śmiechem: rakieta może trafić w cel, ale skutki uderzenia rozchodzą się po całym regionie. Technologia obiecuje chirurgię wojny. Polityka dostarcza sepsę. W tym układzie Izrael dysponuje zaawansowaną technologią i wywiadem, USA globalnym zapleczem projekcji siły, a Iran siecią asymetrycznych narzędzi regionalnych.

Nie jest to starcie równych armii na jednej równinie, lecz układ wielopiętrowy: od cyberprzestrzeni i powietrza, przez infrastrukturę energetyczną i rynki finansowe, aż po dyplomację i ceny ropy. W takim środowisku zwycięstwo staje się pojęciem nieostrym. Czy jest nim zniszczenie instalacji, opóźnienie programu zbrojeniowego, czy może zmiana reżimu lub nowa umowa? Każda z tych definicji prowadzi do innej wojny.

Największym ryzykiem pozostaje wojna bez wyjścia. Reuters 18 maja 2026 roku wskazywał na ryzyko impasu amerykańsko-irańskiego, w którym brak jasnej ścieżki zakończenia konfliktu może sprowokować nową fazę walk. To klasyczna pułapka konfliktów hegemonicznych: łatwiej rozpocząć przymus, niż określić warunki jego wygaszenia. Jeśli celem jest pełna kapitulacja przeciwnika, wojna może trwać w nieskończoność. Jeśli sygnał odstraszający, trzeba wiedzieć, kiedy został odebrany. Brak drogi odwrotu sprawia, że przeciwnik może uznać eskalację za jedyny sposób na zachowanie twarzy. Wojny późnego imperium często nie mają końca, gdyż ich cele są hybrydą strategii i spektaklu. Trzeba osiągnąć realny cel, ale jednocześnie wyglądać na zwycięzcę przed sojusznikami, wyborcami i rynkami. Dyplomacja wymaga kompromisu, spektakl żąda triumfu, a bezpieczeństwo chłodnej kalkulacji. Właśnie dlatego wojny hegemoniczne tak często grzęzną w teatrze wiarygodności.

Nikt nie chce być pierwszym, który przyzna, że koszt przymusu przewyższa zysk – zwłaszcza w wojnie rozpoczętej po to, by udowodnić, że nie wolno się cofnąć. Konflikt ma także wymiar ideologiczny. Po stronie izraelsko-amerykańskiej dominuje język walki z terroryzmem i ochrony cywilizacji przed fanatyzmem; strona irańska mówi o antyimperializmie, suwerenności i oporze wobec syjonizmu. Obie strony budują moralny porządek świata, w którym przeciwnik przestaje być

partnerem do negocjacji, a staje się bytem, który należy złamać. Im bardziej konflikt przypomina walkę dobra ze złem, tym mniej miejsca zostaje na politykę, a więcej na gesty apokaliptyczne.

Perspektywa harveyowska nakazuje zachować tu zimną głowę. Ideologia nie jest jedynie maską interesów – ludzie naprawdę wierzą w swoje narracje, a elity skutecznie mobilizują społeczeństwa za pomocą obrazów religijnych czy narodowych. Jednak ideologia nie unosi się nad zasobami i finansami; ona w nich operuje. Gdy moralna krucjata zderza się z realiami cieśnin i długów, powstaje mieszanka szczególnie niebezpieczna: każde ustępstwo staje się zdradą, a każdy koszt jest usprawiedliwiany koniecznością dziejową. Taki konflikt wpływa również na relacje USA-Chiny. Dla Waszyngtonu może być okazją do potwierdzenia roli jedynego gwaranta bezpieczeństwa w kluczowych kryzysach, ale może stać się również pułapką zasobów i uwagi.

Konflikt o status jako dowód przejścia od hegemonii do dominacji

Każda eskalacja na Bliskim Wschodzie odciąga energię strategiczną z Indo-Pacyfiku, gdzie USA upatrują w Chinach głównego rywala systemowego. Dla Pekinu konflikt jest zagrożeniem energetycznym, lecz jednocześnie okazją propagandową i dyplomatyczną: pozwala przedstawiać USA jako źródło chaosu, a Chiny jako rzecznika stabilności, handlu i suwerenności. Oczywiście chińska narracja nie jest niewinna, jednak w polityce międzynarodowej reputację zdobywa nie ten, kto jest bez grzechu, lecz ten, kto potrafi cudze grzechy lepiej opowiedzieć.

Rosja obserwuje te wydarzenia przez pryzmat własnych kalkulacji. Każde zaangażowanie USA na Bliskim Wschodzie może odciągnąć uwagę od Europy Wschodniej i wojny przeciw Ukrainie. Wyższe ceny surowców mogą wzmacniać dochody producentów energii, choć sankcje i ograniczenia logistyczne komplikują ten rachunek. Moskwa chętnie korzysta z narracji antyamerykańskiej, lecz sama pozostaje aktorem imperialnym, co czyni jej krytykę Zachodu moralnie wygodną i analitycznie śliską. Nie każdy, kto krytykuje amerykańską hegemonię, staje się obrońcą wolności. Imperia lubią demaskować się nawzajem, bo cudza hipokryzja jest najtańszym surowcem propagandy.

Dla globalnego Południa konflikt stanowi kolejny dowód na selektywność porządku międzynarodowego. Państwa spoza centrum widzą, że prawo międzynarodowe bywa przywoływane lub zawieszane zależnie od interesu potęg; że sankcje, interwencje, gwarancje bezpieczeństwa czy narracje humanitarne nie są rozdzielane według neutralnego algorytmu moralnego. Wzmacnia to niechęć do zachodniego moralizmu, nawet jeśli nie przekłada się automatycznie na poparcie dla

Iranu. W świecie wielobiegunowym coraz więcej państw pragnie pola manewru zamiast wyboru między kazaniem jednego imperium a ofertą kredytową drugiego. Świat nie buntuje się wyłącznie przeciw Zachodowi. Buntuje się przeciw prawu, które działa jak pogoda dla jednych i jak pałka dla drugich.

W ten sposób spór Izrael-USA-Iran staje się laboratorium przejścia od hegemonii przez zgodę do hegemonii przez przymus. Jeśli USA zdołają utrzymać porządek regionalny poprzez sojusze, dyplomację i akceptowalne kompromisy, ich hegemonia zachowa element przywództwa. Jeśli jednak będą coraz częściej sięgać po bombardowania, sankcje i dyscyplinowanie sojuszników, przywództwo osłabnie, a na pierwszy plan wysunie się dominacja. Problem w tym, że przymus może wymusić zachowanie, ale rzadko odbudowuje zaufanie. Może uciszyć przeciwnika, lecz często produkuje pamięć upokorzenia; może opóźnić program, ale przyspieszyć determinację; może ochronić sojusznika dziś, by stworzyć szerszą koalicję oporu jutro.

Najbardziej prawdopodobne scenariusze nie zakładają prostego zwycięstwa jednej strony. Pierwszy to kontrolowana deeskalacja: ograniczone porozumienie zamrażające spór i odsuwające najtrudniejsze kwestie na później, co pozwoli wszystkim ogłosić sukces. Drugi to wojna przerywana: cykl incydentów, odwetów i negocjacji. Trzeci to eskalacja regionalna przez aktorów pośrednich, gdzie główni gracze udają niechęć do pełnej wojny, pozwalając prowadzić ją sieciom powiązanych sił. Czwarty to głęboka destabilizacja energetyczna, wymuszająca aktywną presję dyplomatyczną Chin i Europy. Piąty, najgroźniejszy, to logika prestiżowej pułapki: żadna strona nie potrafi zejść z drabiny, gdyż pierwszy krok w dół zostanie uznany za kapitulację.

Żaden z tych scenariuszy nie usuwa przyczyny zasadniczej: regionalna architektura bezpieczeństwa jest niekompletna i nasycona przemocą. Izrael nie ufa porozumieniom, które nie ograniczają realnie zdolności Iranu. Iran nie ufa tym, które pozostawiają go bez narzędzi odstraszania. USA nie chcą utracić roli arbitra, Chiny dążą do stabilności energetycznej bez amerykańskiej dominacji, państwa Zatoki chcą bezpieczeństwa bez bycia polem bitwy, a Europa pragnie spokoju przy ograniczonej sprawczości. Każdy chce stabilności, lecz każdy inaczej definiuje warunki, pod którymi jest ona korzystna.

Tu dochodzimy do granicy analizy ropy. Tłumaczy ona globalne znaczenie regionu, ale nie wyjaśnia w pełni, dlaczego aktorzy ponoszą koszty przekraczające rachunek energetyczny. Do tego niezbędna jest analiza prestiżu, odstraszania i struktury hegemonii. Wojna o ropę byłaby prostsza; wojna o prawo do ustalania granic cudzej siły jest znacznie trudniejsza do zakończenia. Konflikt ten jest niebezpieczny, bo dotyczy nie tylko zasobu, lecz statusu. Ropa jest paliwem konfliktu. Status jest jego tlenem.

Z perspektywy Harveya konflikt odsłania jedność logiki terytorialnej i kapitalistycznej: państwa walczą o wpływ i kontrolę przestrzeni, podczas gdy kapitał reaguje przez ceny, ryzyko i ubezpieczenia. Finanse wyceniają eskalację, gospodarki szukają alternatyw, a społeczeństwa płacą inflacją i lękiem. Hegemon próbuje utrzymać porządek, lecz każdy akt przymusu zwiększa koszt jego utrzymania. Tak wygląda nowy imperializm: nie jako spójna strategia wszechmocnego centrum, lecz jako nerwowy system nacisków, długów i prób odzyskania kontroli.

Przejście od hegemonii opartej na zgodzie do dominacji przez przymus

Dlatego konflikt Izrael-USA-Iran to wojna nie tylko o paliwa kopalne. Jest wojną o to, kto ma prawo być źródłem strachu, a kto ma być jego adresatem. O to, czy regionalna potęga może zbudować własny parasol bezpieczeństwa wbrew hegemonowi i czy Izrael utrzyma monopol przewagi strategicznej.

To także starcie o to, czy USA potrafią jeszcze narzucać reguły bez pełnej zgody świata oraz czy Chiny pozostaną podatne na energetyczne gardła kontrolowane przez cudzy układ siły. Pytanie brzmi: czy sankcje i uderzenia prewencyjne mogą zastąpić trwałą architekturę polityczną? I wreszcie: czy późne imperium potrafi odróżnić demonstrację siły od dowodu własnego przeciążenia.

Hegemonia nie jest tym samym co dominacja. Dominacja mówi: zrobisz, bo mogę cię zmusić. Hegemonia mówi: zrobisz, bo uznasz, że to również w twoim interesie, albo przynajmniej że sprzeciw kosztowałby więcej niż podporządkowanie. Podczas gdy dominacja potrzebuje przeważającej siły, hegemonia wymaga dodatkowo opowieści, instytucji, korzyści, sojuszy i rytuałów uznania – przekonania, że przywództwo hegemona ma wymiar ogólny, a nie wyłącznie prywatny. Imperium potrafiące wzbudzać zgodę wydaje mniej na przymus; to, które ją traci, musi dopłacać strachem.

Właśnie dlatego przejście od zgody do przymusu jest jednym z kluczowych procesów w analizie nowego imperializmu. Nie chodzi o to, że wcześniejsza hegemonia była niewinna – nie była. Powojenny porządek amerykański od początku opierał się na interwencjach, zamachach stanu, presji gospodarczej, wojnach zastępczych, operacjach wywiadowczych, asymetrii handlowej i brutalnym traktowaniu państw uznanych za zagrożenie.

Jednocześnie potrafił on jednak generować realne korzyści dla znacznej części sojuszników: bezpieczeństwo militarne, dostęp do rynku, odbudowę gospodarczą, transfer technologii, stabilność

instytucjonalną, parasol walutowy i ideologiczną opowieść o obronie wolnego świata. Obok przymusu istniał udział w łupach porządku; obok dyscypliny była dywidenda przynależności. Hegemonia działa najlepiej wtedy, gdy podległość wygląda jak rozsądny wybór. Ten element zgody trafnie opisywała tradycja gramsciańska, z której korzysta Harvey.

Władza trwa nie tylko dzięki aparatowi przemocy, lecz dlatego, że panujący potrafi zorganizować moralne i intelektualne przywództwo. W porządku międzynarodowym oznacza to zdolność przedstawiania własnych interesów w taki sposób, aby mogły uchodzić za interes ogólny. Hegemon nie mówi: moje banki, moje bazy, moja waluta, moje korporacje, moje szlaki. Mówi: stabilność, bezpieczeństwo, wolny handel, rozwój, demokracja, prawa człowieka, walka z terroryzmem i odpowiedzialność za porządek.

Od obietnicy rozwoju do przymusu militarnego

Część tej narracji może być prawdziwa, część zaś może być hipokryzją. Kluczowe jest jednak to, czy inni aktorzy uznają, że udział w tym porządku przynosi im więcej korzyści niż bunt. Po II wojnie światowej Stany Zjednoczone mogły skutecznie pełnić rolę hegemona, ponieważ łączyły dominację materialną z obietnicą rozwoju. Plan Marshalla nie był jałmużną; stanowił inwestycję w antykomunistyczną architekturę Zachodu, rynki zbytu, stabilizację sojuszników oraz moralną legitymizację amerykańskiego przywództwa. NATO nie było jedynie sojuszem wojskowym – było instytucją organizującą wyobraźnię bezpieczeństwa. Bretton Woods z kolei nie ograniczało się do układu walutowego; tworzyło strukturę, w której dolar i amerykańska gospodarka stały się osią stabilności kapitalistycznego świata. Hollywood, uniwersytety, nauka, konsumpcja, kultura popularna, technologia i mit klasy średniej dopełniały ten obraz: Ameryka była nie tylko potęgą, lecz przede wszystkim obietnicą. Oczywiście ta obietnica miała swoje ciemne zaplecze. Dla wielu państw globalnego Południa amerykańskie przywództwo oznaczało presję, uzależnienie, wspieranie prawicowych reżimów, antykomunistyczne represje i podporządkowanie gospodarce światowej na warunkach centrum. Jednak w obrębie Zachodu i dla części elit peryferii hegemonia amerykańska funkcjonowała, gdyż oferowała ścieżkę awansu. Nie każdemu, nie równo i nie bezinteresownie, ale wystarczająco skutecznie, by wytworzyć zgodę wielu uczestników systemu. Model ten zaczął pękać wraz z osłabieniem materialnych podstaw tej zgody. Hegemonia produkcyjna USA została podważona przez wzrost konkurencji europejskiej i azjatyckiej, a kryzys lat siedemdziesiątych nadwyrężył powojenny kompromis społeczny. Finansjalizacja przeniosła środek ciężkości z produkcji ku rynkom kapitałowym. Neoliberalizm zaczął wymagać od państw i społeczeństw reform, które coraz trudniej było przedstawiać jako wspólny rozwój. Prywatyzacja, deregulacja, liberalizacja przepływów kapitału czy programy dostosowawcze opisywano językiem efektywności,

lecz doświadczenie społeczne mówiło co innego: utratę kontroli, bezrobocie, zadłużenie, wyprzedaż majątku i podporządkowanie logice wierzycieli. Zgoda słabnie wtedy, gdy obietnica rozwoju zaczyna przypominać instrukcję podporządkowania. W latach dziewięćdziesiątych amerykańska hegemonia finansowa mogła jeszcze operować poprzez instytucje i konsensus neoliberalny. Nie trzeba było wysyłać wojsk wszędzie, skoro można było wykorzystać Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy, WTO, ratingi, Departament Skarbu USA czy presję rynków i elitarny język „odpowiedzialnej polityki". Otwieranie rynków i dyscyplina budżetowa przedstawiane były jako techniczne warunki nowoczesności. Polityka udawała ekonomię, ekonomia udawała naturę, a natura miała swój adres na Wall Street. Ten model również miał granice. Kryzysy finansowe w Azji, Rosji czy Ameryce Łacińskiej pokazały, że neoliberalna globalizacja nie jest uniwersalną drogą do dobrobytu, lecz systemem podatnym na kaskadowe zapaści i drapieżne przejęcia. Państwa otwierające się na przepływy kapitałowe odkrywały, że kapitał wchodzi jak inwestor, a wychodzi jak pożar. Lokalne waluty załamywały się, aktywa taniały, a programy naprawcze często wymagały jeszcze głębszej liberalizacji. Hegemonia przez zgodę stawała się coraz trudniejsza, bo coraz więcej społeczeństw dostrzegało rachunek ukryty w małym druku globalizacji. W tym kontekście zwrot neokonserwatywny po 11 września 2001 roku był czymś więcej niż zmianą administracji czy stylu polityki zagranicznej. Był przejawem głębszego przesunięcia: od multilateralnej i finansowej formy dyscyplinowania świata ku jawniejszemu unilateralizmowi i przymusowi militarnemu. Ataki terrorystyczne stworzyły moment polityczny, w którym możliwe stało się połączenie strachu, nacjonalizmu, moralnej krucjaty, interesów kompleksu militarno-przemysłowego i imperialnej doktryny prewencji.

Przejście od hegemonii zgody do dominacji poprzez przymus

Nagle hegemon mógł ogłosić: kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam. To zdanie nie było jedynie retoryką wojenną; stanowiło drastyczne zwężenie całej przestrzeni politycznej. Gdy hegemon traci cierpliwość do negocjacji, świat odnosi wrażenie, że zgoda jest wprawdzie mile widziana, ale przestała być potrzebna. Wojna z terroryzmem pozwoliła przedefiniować przymus jako moralny obowiązek. Przeciwnik przestał być po prostu państwem, ruchem czy reżimem – stał się wcieleniem zła i zagrożeniem cywilizacyjnym, obiektem prewencyjnego uderzenia, kimś wyjętym poza normalną logikę polityki. Taki język posiada ogromną siłę mobilizacyjną, lecz niemal zerową zdolność kończenia konfliktów. Z terrorystą się nie negocjuje, z osią zła nie idzie na kompromis, z fanatyzmem się nie układa. W konsekwencji wojna traci granice; może trwać wszędzie i zawsze, gdyż zagrożenie jest rozproszone, potencjalne, tajne i moralnie absolutne.

Harvey wskazuje, że w tym momencie amerykańska hegemonia coraz mniej przypominała przywództwo, a coraz bardziej dominację. Colin Powell użył sformułowania o USA jako "łobuzie na dzielnicy". Bon mot ten jest brutalny właśnie dlatego, że zdejmuje z polityki maskę pedagogiczną. Nie głosi: jesteśmy przewodnikiem wolnego świata. Mówi wprost: jesteśmy tym, kto może wymusić porządek. "Łobuz na dzielnicy" nie musi być lubiany – musi być traktowany poważnie. To logika władzy, która przestała zabiegać o moralną zgodę i zaczęła stawiać na strach jako walutę polityczną. Tyle że strach jest walutą inflacyjną.

Aby działał, trzeba go stale odnawiać. Każde wymuszenie rodzi potrzebę kolejnego. Każda groźba, jeśli nie zostanie spełniona, traci wiarygodność; jeśli zostanie zrealizowana, zwiększa koszty. Hegemon rządzący strachem musi nieustannie udowadniać realność swojej przemocy. W ten sposób przymus zaczyna generować własny przymus i przestaje być instrumentem wyjątkowym, stając się stylem zarządzania światem. Ten styl przenika następnie do wnętrza państwa jako sposób zarządzania społeczeństwem. Tu powraca Arendtowska intuicja o imperializmie za granicą i tyranii w kraju. Po 11 września USA wprowadziły mechanizmy nadzoru, detencji, kontroli informacji oraz rozszerzyły władzę wykonawczą, co fundamentalnie zmieniło relację między państwem a obywatelem. Patriot Act i Homeland Security Act stały się symbolami tej transformacji. Państwo nie tylko ścigało zagrożenia, ale uczyło społeczeństwo, że bezpieczeństwo wymaga ustępstw kosztem wolności. Problem polega na tym, że aparat wyjątkowy rzadko pozostaje taki. Instytucje stworzone do walki z kryzysem mają talent do przeżywania kryzysów, które je urodziły. Stan wyjątkowy ma skłonność do wynajmowania sobie mieszkania na stałe.

Wojna zewnętrzna wymaga wewnętrznej dyscypliny: kontroli narracji, delegitymizacji krytyki, mobilizacji patriotyzmu i wzmacniania służb przy jednoczesnym rozszerzaniu tajności. Gdy społeczeństwo pyta o sens wojny, władza odpowiada zagrożeniem; gdy pyta o koszty – koniecznością, a gdy o prawo – bezpieczeństwem. Nie zawsze jest to dyktatura; częściej mowa o erozji.

Demokracja formalnie trwa, lecz jej odruchy stają się wojskowe: mniej pytać, szybciej reagować, bardziej ufać służbom i mniej przeszkadzać dowódcom. Przejście od zgody do przymusu ma więc dwa wymiary. Na zewnątrz oznacza częstsze używanie siły, sankcji, uderzeń prewencyjnych i unilateralnych decyzji. Wewnątrz przejawia się rosnącą tolerancją dla nadzoru, tajności i ograniczania debaty pod pretekstem bezpieczeństwa. Oba procesy wzmacniają się nawzajem: im więcej wojny za granicą, tym silniejsze argumenty za dyscypliną w kraju, a im bardziej społeczeństwo przywyknie do tej dyscypliny, tym łatwiej prowadzić kolejne wojny. Przymus nie zawsze przybiera postać bezpośredniej przemocy wojskowej – w epoce finansjalizacji sankcje

gospodarcze stały się jedną z najważniejszych form imperialnego nacisku. Sankcja bywa przedstawiana jako alternatywa dla wojny, lecz często działa jak oblężenie bez murów.

Przymus finansowy i militarny jako katalizator fragmentacji hegemonii

Sankcje odcinają od systemów płatności, technologii, kapitału i ubezpieczeń, a także od części zamiennych, rynków oraz instytucji. Choć formalnie wymierzone są w reżim, koszty nakładają na całe społeczeństwo. Ich siła wynika z kontroli nad infrastrukturą globalizacji; to przymus w białych rękawiczkach księgowości. Mechanizmy te pokazują, że hegemonia finansowa i militarna nie są rozdzielne. Dolar, system bankowy, jurysdykcja amerykańska oraz dostęp do technologii i rynków tworzą przestrzeń, w której USA mogą karać podmioty z całego świata. Państwo, firma czy bank nie muszą znajdować się na terytorium USA, by odczuć skutki ich decyzji. Jest to logika terytorialna wyprowadzona poza klasyczne granice. Imperium nie musi zajmować fizycznej przestrzeni, jeśli kontroluje infrastrukturę, dzięki której ta przestrzeń uczestniczy w świecie. W epoce finansowej oblężenie nie wymaga murów. Wystarczy odciąć kod dostępu.

Taki przymus niesie jednak koszty polityczne. Im częściej hegemon używa globalnej infrastruktury jako broni, tym silniejsza staje się pokusa szukania alternatyw. Chiny, Rosja, Iran, państwa globalnego Południa, a nawet sojusznicy USA zaczynają pytać: czy system, który miał być neutralnym fundamentem gospodarki, nie stał się narzędziem politycznej dyscypliny? Jeśli tak, konieczne jest budowanie obejść: nowych walut, systemów płatności, łańcuchów dostaw, instytucji kredytowych i sojuszy technologicznych. Przymus w krótkim terminie wzmacnia hegemona, lecz długofalowo przyspiesza fragmentację porządku, który ten hegemon chciał zachować.

Podobnie rzecz ma się z interwencjami militarnymi. Uderzenie może opóźnić program przeciwnika, zniszczyć jego infrastrukturę i uspokoić sojuszników pokazem siły. Może jednak równocześnie zwiększyć determinację wroga, legitymizować aparat represji, wzmocnić nastroje antyimperialne, podnieść ceny energii czy obciążyć budżet, dzieląc jednocześnie sojuszników i wywołując sprzeciw wewnętrzny. Przymus jest narzędziem, które łatwo przecenić, gdyż jego natychmiastowe efekty są widowiskowe. Zgoda jest mniej efektowna, ale tańsza. Dyplomacja rzadko dostarcza atrakcyjnych obrazów telewizyjnych; rakieta – niestety – tak.

Neokonserwatywny zwrot opierał się na przekonaniu, że amerykańska przewaga militarna może przekształcać świat szybciej i skuteczniej niż powolne budowanie zgody. Irak miał być przykładem nowego porządku: pokazem siły, przebudową regionu, narzuceniem demokracji rynkowej i

dowodem na to, że USA mogą działać jednostronnie. Stał się natomiast symbolem imperialnego przeciążenia: kosztów okupacji, oporu, destabilizacji oraz utraty autorytetu. Kłamstwa wywiadowcze, tortury, Guantanamo i Abu Ghraib obnażyły rozdarcie między retoryką wolności a praktyką przymusu. Wolność miała być narzędziem zmiany, lecz – parafrazując bon mot z książki Harveya – należało zapytać, dokąd ten koń dowiezie Irakijczyków. Odpowiedź okazała się mniej wzniosła niż przemówienia. Największy problem z eksportem wolności polega na tym, że zbyt często jedzie w konwoju okupacyjnym.

Wojna w Iraku podważyła moralny fundament amerykańskiej hegemonii. Sojusznicy dostrzegli, że argumenty o broni masowego rażenia mogą być używane instrumentalnie. Przeciwnicy zrozumieli, że prawo międzynarodowe można obejść, jeśli potęga uzna to za konieczne, a społeczeństwa globalnego Południa zobaczyły, że język demokracji może towarzyszyć przemocy i chaosowi.

Nie oznacza to, że przed Irakiem świat bezkrytycznie wierzył w niewinność USA. Irak stał się jednak momentem demaskacji. Hegemon deklarował niesienie wolności, podczas gdy świat zobaczył przymus, w którym wolność była jedynie elementem retorycznym. Przejście od zgody do dominacji nie oznacza całkowitego końca miękkiej siły USA. Amerykańskie uniwersytety, technologie, kultura, kapitał i sieci sojuszy nadal pozostają potężne.

Przymus niszczy przywództwo i zawęża wyobraźnię polityczną

Problem polega na tym, że miękka siła jest stale podgryzana przez twardą praktykę. Nie można w nieskończoność sprzedawać opowieści o wolności, gdy symbolem epoki stają się drony, sankcje, tajne więzienia, masowa inwigilacja i wojny bez wyraźnego końca. Soft power wymaga wiarygodności; hard power może ją chronić, ale może ją również zatruć.

Współczesny konflikt z Iranem wpisuje się w tę samą logikę. USA deklarują obronę bezpieczeństwa, przeciwdziałanie proliferacji nuklearnej, ochronę sojusznika i stabilność regionu, jednocześnie stosując narzędzia przymusu: sankcje, presję wojskową, uderzenia, mobilizację floty, groźby oraz dyscyplinowanie partnerów. Iran z kolei kreuje się na ofiarę imperialnego nacisku, choć sam prowadzi politykę przemocy regionalnej i wewnętrznej represji. Obie strony posługują się językiem moralnym, lecz w rzeczywistości gra toczy się o to, kto potrafi narzucać koszty i kto jest w stanie je przetrwać. To jest hegemonia późnej fazy: mniej zachwytu, więcej odporności na ból.

W takim układzie sojusznicy USA zaczynają kalkulować inaczej, a zgoda nie jest już automatyczna. Europejczycy, państwa Zatoki czy partnerzy azjatyccy pytają, czy amerykańska strategia zapewnia

stabilność, czy raczej produkuje ryzyko. Czy Waszyngton pozostaje gwarantem porządku, czy staje się źródłem eskalacji? Czy lojalność wobec USA zwiększa bezpieczeństwo, czy wciąga w niepotrzebne konflikty? Czy dolar i amerykańskie systemy finansowe są neutralnym dobrem, czy potencjalną smyczą? Im częściej padają te pytania, tym bardziej hegemonia przesuwa się z obszaru oczywistości w stronę transakcji. Sojusznik nie mówi już: „idziemy razem, bo to nasz wspólny porządek", lecz pyta: „ile to kosztuje i co dostanę w zamian?".

Gdy hegemonia sprowadza się do rachunku zysków i strat, przestaje być przywództwem, a staje się kontraktem z klauzulą strachu. Przymus niesie ze sobą także konsekwencje epistemiczne. Wojna i bezpieczeństwo generują własne reżimy prawdy. Eksperci wojskowi, służby, think tanki, media, przemysł zbrojeniowy i administracja tworzą język, w którym pewne pytania uznaje się za „odpowiedzialne", a inne za „naiwne" lub „antypaństwowe". Można dyskutować o taktyce, lecz trudniej o samych założeniach. Można pytać, jak wygrać, ale rzadko pyta się, czy gra ma sens. Można debatować o sankcjach, lecz nie o prawie do ich narzucania. Można liczyć zdolności przeciwnika, ale trudno oszacować koszty własnej dominacji.

Przymus zawęża wyobraźnię polityczną, ucząc społeczeństwa myślenia w kategoriach zagrożenia, a nie alternatywy. To ograniczenie jest jedną z najgroźniejszych form imperialnego dziedzictwa. Obywatele zaczynają wierzyć, że świat zewnętrzny to przede wszystkim przestrzeń ryzyk wymagających zarządzania siłą. Sojusznicy są użyteczni, o ile pozostają lojalni. Przeciwnicy stają się racjonalni tylko wtedy, gdy się cofają. Neutralni budzą podejrzenia, jeśli nie popierają sankcji, a krytycy wewnętrzni są postrzegani jako problem, gdy podważają morale. W ten sposób język imperium kolonizuje zdrowy rozsądek. Świat staje się dzielnicą, po której przechadza się globalny „łobuz", przekonany, że jego agresja jest jedynie bardziej energiczną formą odpowiedzialności.

Jednak przymus nieuchronnie wytwarza opór. Bywa on jawny lub ukryty, militarny bądź finansowy, technologiczny czy kulturowy. Państwa zaczynają dywersyfikować rezerwy, budować alternatywne szlaki, wzmacniać organizacje regionalne, rozwijać własne technologie i omijać sankcje, tworząc koalicje ad hoc i prowadząc politykę wielowektorową.

Przymus jako kosztowna droga do imperialnego przeciążenia

Społeczeństwa zaczynają odrzucać moralny język hegemona. Nawet sojusznicy zaczynają marzyć o autonomii strategicznej, choć często marzą wygodnie, bez płacenia pełnego rachunku. Każdy akt przymusu uczy świat, gdzie leżą punkty zależności, a kto je odkryje, zaczyna szukać sposobów na

ich ograniczenie. Przymus jest instrukcją obsługi dla przyszłego oporu; wskazuje precyzyjnie, od czego należy się uniezależnić.

Nie można jednak zakładać, że świat automatycznie zmierza ku sprawiedliwszej wielobiegunowości. Osłabienie jednej hegemonii nie musi oznaczać emancypacji, lecz może zwiastować rywalizację kilku systemów przymusu. Chiny, Rosja czy Iran również posługują się naciskiem, cenzurą, długiem, technologią i siłą.

Krytyka amerykańskiego przejścia od zgody do przymusu nie może być zatem romantyczną pochwałą każdego, kto posługuje się hasłem „antyimperializm". Nie każdy przeciwnik hegemona jest przyjacielem wolności; często jest po prostu kandydatem do zaprowadzenia własnego porządku dyscypliny. To zastrzeżenie nie osłabia analizy Harveya, lecz ją wzmacnia. Pokazuje bowiem, że problem nie sprowadza się wyłącznie do złej woli jednego państwa, ale tkwi w strukturze globalnego kapitalizmu i rywalizacji mocarstw, która czyni z przymusu narzędzie utrzymania akumulacji, bezpieczeństwa i prestiżu.

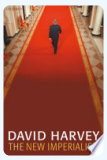
USA są tu przypadkiem szczególnym ze względu na rolę globalnego hegemona, jednak sam mechanizm jest uniwersalny: gdy słabnie zgoda społeczna i międzynarodowa, elity sięgają po dyscyplinę. Gdy obietnica rozwoju przestaje działać, pojawia się zarządzanie lękiem. Gdy rynek nie przekonuje, przychodzi państwo z pałką, sankcją albo lotniskowcem.

W tym punkcie przejście od zgody do przymusu spotyka się z imperialnym przeciążeniem. Przymus jest kosztowny. Wymaga funduszy, rozbudowanego aparatu bezpieczeństwa, baz, wojsk i technologii, a także propagandy, kontroli oraz nieustannego odtwarzania narracji zagrożenia. Zgoda pozwala rządzić taniej, ponieważ inni współpracują w oparciu o własne kalkulacje i przekonania. Przymus natomiast wymaga nadzoru. Hegemon, który traci zgodę, musi wydawać więcej, ryzykować więcej i tłumaczyć więcej – a im więcej tłumaczy, tym wyraźniej widać, że jego pozycja przestała być oczywista.

Imperium najpierw płaci za przywództwo inwestycją, potem za dominację przemocą, a na końcu za tę przemoc długiem. Imperialne przeciążenie nie jest zatem zwykłym zmęczeniem mocarstwa, lecz strukturalnym momentem, w którym koszty utrzymania globalnej pozycji przekraczają zdolność państwa do ich politycznego, fiskalnego i moralnego udźwignięcia. Hegemon musi jednocześnie finansować armię, utrzymywać poziom konsumpcji, obsługiwać dług, stabilizować sojusze, chronić walutę i dyscyplinować przeciwników, uspokajając przy tym własne społeczeństwo. Wówczas „armaty i masło" przestają być jedynie hasłem, a stają się równaniem bez dobrego wyniku.

> W ostatecznym rozrachunku ropa okazuje się wielkim testem fałszywej niewinności globalizacji, obnażając fakt, że wolny rynek nie jest samoregulującą się przestrzenią wymiany, lecz systemem zabezpieczonym przez przemoc i terytorium. Gdy cyfrowy spektakl nowoczesności pęka pod wpływem jednego zamkniętego przesmyku, słyszymy stary dźwięk metalu statków i szum silników. Pozostaje pytanie: czy świat po ropie będzie przestrzenią wolności, czy jedynie areną nowych monopoli, w których kopalnie litu zastąpią pola naftowe, a patenty staną się nowymi rurociągami władzy?

Inspiracje

[1] 

"New Imperialism" David Harvey

OUP Oxford | ISBN: 9780191555794

David Harvey (ur. 1935) jest wybitnym brytyjskim geografem i teoretykiem społecznym. Jest powszechnie uznawany za jednego z najczęściej cytowanych naukowców z dziedziny nauk humanistycznych i społecznych na świecie. Harvey wniósł fundamentalny wkład w geografię, urbanistykę i teorię marksistowską, szczególnie poprzez analizę dynamiki przestrzennej kapitalizmu. Jego prace często koncentrują się na relacji między akumulacją kapitału, urbanizacją i sprawiedliwością społeczną. W trakcie swojej kariery zajmował prestiżowe stanowiska akademickie, w szczególności na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa i City University of New York (CUNY), gdzie pełni funkcję profesora honorowego. Jego wpływowe prace naukowe znacząco ukształtowały współczesne rozumienie globalizacji, neoliberalizmu i geograficznej nierównomierności rozwoju gospodarczego, czyniąc go centralną postacią krytycznej geografii człowieka.

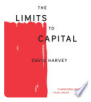
David Harvey *(born 1935) is a prominent British geographer and social theorist. He is widely recognized as one of the world's most cited academics in the humanities and social sciences. Harvey has made foundational contributions to geography, urban studies, and Marxist theory, particularly through his analysis of the spatial dynamics of capitalism. His work often focuses on the relationship between capital accumulation, urbanization, and social justice. Throughout his career, he has held prestigious academic positions, most notably at Johns Hopkins University and the City University of New York (CUNY), where he serves as a Distinguished Professor. His influential scholarship has significantly shaped contemporary understandings of globalization, neoliberalism, and the geographical unevenness of economic development, making him a central figure in critical human geography.*

City University of New York (CUNY)

Literatura uzupełniająca

Książki

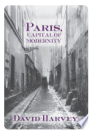
Książki autora i dzieła przywołane w tekście:



[1] "The Limits to Capital"

David Harvey

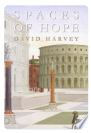
2018 | Verso Books | ISBN: 9781788731034



[2] "Paris, Capital of Modernity"

David Harvey

2003 | Psychology Press | ISBN: 9780415944212



[3] "Spaces of Hope"

David Harvey

2000 | Univ of California Press | ISBN: 9780520225787



[4] "Przewodnik po „Kapitale" Karola Marksa, część 2"

David Harvey

2018 | Wydawnictwo Ekonomiczne "Heterodox" | ISBN: 9788394367152



[5] "Seventeen Contradictions and the End of Capitalism"

David Harvey

2014 | Profile Books | ISBN: 9781782830085



[6] "Przewodnik po „Kapitale" Karola Marksa, część 1"

David Harvey

2017 | Wydawnictwo Ekonomiczne "Heterodox" | ISBN: 9788394367121

Książki autorów przywoływanych i literatura pokrewna:

[7] "Global Economic Disparity A Dynamic Force in Geoeconomic Competition of Superpowers"

Jae Wan Chung

Artykuły naukowe

Prace autorów przywoływanych w tekście:

[1] "Health and wellness in commercial buildings: Systematic review of sustainable building rating systems and alignment with contemporary research"

J.J. McArthur, Colin Powell

2020 | Building and Environment | DOI: 10.1016/j.buildenv.2019.106635

Źródło

Artykuły naukowe autora:

[2] "The Condition of Postmodernity"

Cole Harris, David Harvey

1991 | Economic Geography | DOI: 10.2307/143544

Źródło

[3] "The Condition of Postmodernity: An Enquiry into the Origins of Cultural Change"

Paul Walker Clarke, David Harvey

1991 | Journal of Architectural Education | DOI: 10.2307/1425268

Źródło

[4] "Justice, Nature and the Geography of Difference"

Kent Mathewson, David Harvey

1997 | Geographical Review | DOI: 10.2307/215233

Źródło

[5] "Social Justice and the City"

David Harvey

2009 | University of Georgia Press eBooks | DOI: 10.1353/book13205

Źródło

[6] "The Limits of Capital"

David Harvey

1982 | Medical Entomology and Zoology

Źródło

[7] "Spaces of Capital: Towards a Critical Geography"

David Harvey

2001

Źródło

[8] "Spaces of hope"

David Harvey

2000

Źródło

[9] "The Urban Experience"

David Harvey

1989 | Johns Hopkins University Press eBooks | DOI: 10.56021/9780801838491

Źródło

[10] "From Managerialism to Entrepreneurialism: The Transformation in Urban Governance in Late Capitalism"

David Harvey

1989 | Geografiska Annaler Series B Human Geography | DOI: 10.1080/04353684.1989.11879583

Źródło

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: eb9e42f0-5d12-480b-8c9b-9a46d5737a86